



JÓZEF BISPING

WSPOMNIENIA

CZĘŚĆ I

DZIECIŃSTWO I MŁODOŚĆ

Bagna strubnickie – Konobaje i Puszcza

Konobaje były folwarkiem Strubnicy odległym o 9 kilometrów. Były kupione przez Ojca przed pierwszą wojną i wówczas część ziemi była pod uprawą, były budynki gospodarskie, inwentarz, ludzie tam mieszkali. W czasie tej wojny była tam linia frontu, budynki zniszczył pożar, zdecydowano więc obrócić Konobaje w teren leśny i łąkowy. Były za daleko od Strubnicy, aby uprawiać tam ziemię. Został domek mieszkalny i ściany kamiennych budowli folwarku. W domku mieszkał gajowy, pilnujący tej posiadłości; przez pewien czas był nim Rosjanin Siteński, wyglądający na eksolicera; mieszkał tam z żoną, młodą kobietą niezwyklej urody i małym dzieckiem. Nie byli tam bardzo długo. Trochę później, wobec sukcesu stawów rybnych w Strubnicy, Papa zdecydował założyć podobne gospodarstwo i w Konobajach. Udało się tam zamknąć stosunkowo niedużą groblą obszerną przestrzeń łąk, co stworzyło szczególnie piękną całość, gdyż lustro wody potworzyło zatoki otoczone lasem. Wody z czasem porosły szuwarem, stwarzając wymarzone miejsce dla kaczek; było to ciche ustronie, prawdziwy raj dla myśliwego. Gdy przyszła jesień i czas odlotu wodnego ptactwa, w szuwarach Konobaj zbierały się niezliczone stada kaczek. Po pierwszym strzale z trzciny podnosiła się z przygłuszonym grzmotem skrzydeł szarobrązowa ruchoma warstwa ptactwa, dzieląc się po chwili na większe i mniejsze stadka, krążące i rozlatujące się ponad lasem na wszystkie strony świata.

Przez pewien czas Ojciec mój trzymał w Konobajach owce. Wykorzystano stare potężne mury kamienne, pozostałe po wypalonych budynkach; część jednego z nich odgrodzono prowizorycznie, nakryto lekkim dachem i tam owce spędzały noc, pasąc się w dzień po okolicznych terenach, stanowiących rzadko zalesione nieużytki. Pilnował ich chłopak i tak szło przez jakiś czas, aż do dnia gdy przyszedł do Strubnicy meldunek o katastrofie. Wilki, których w tych odległych słabo zaludnionych terenach nie brakowało, podkraśli się nocą do owczej zagrody, podkopały się pod ogrodzenie i dostały się do środka. Owce oszalałe ze strachu naparły na ogrodzenie, wyłamały je i rozbiegły

się po zagajnikach. Wilki za nimi; była to rzeź. Na drugi dzień wśród młodych sosenek co parę kroków znajdowano owcę z rozszarpanym gardłem. Straty wyniosły około dwudziestu owiec; mięso było nie do użycia i jedynie skóry mogli byli ludzie zdjąć. Przypuszczalnie było możliwe wyprawić je na kozuchy, czym zajmował się pewien Tatar w miasteczku Piaski. Mięso trzeba było zakopać, a pozostałe owce zabrano do Strubnicy.

Niech mi więc nikt nie mówi, że wilki to szlachetne dzieci natury, że zabijają tylko tyle, ile im potrzeba, a nie tak jak człowiek, żarłoczny myśliwy strzelający do wszystkiego, co się rusza etc. Te wilki w Konobajach, prawdopodobnie jedna ich rodzina, bo w stada zwykle się one łączą dopiero z nadejściem zimy, wymordowały owce jedna za drugą, z czystej pasji zabijania. Chwył kłami za gardło, i do następnej; takimi stworzyła je natura. Wbrew opinii wrażliwych dusz trzęsących się z litości nad strzelonym zającem, niepomyślnych że zjedli przed chwilą pieczeń z jagnięcia i noszą buty ze skóry – wbrew tej opinii to właśnie myśliwy-hodowca, myśliwy-gospodarz dba o zwierzynę, wie co jej potrzeba i umie się nią zaopiekować. Prawdziwy myśliwy nie jest niszczycielem, on skłania się z czcią i miłością przed pięknem natury i przed jej mądrymi prawami. Konobaje, Zelwianka i Puszcza! Niezapomniane strony. Jeszcze powrócę do nich w opowiadaniu.

Polowania w Strubnicy

Wspomnę też o polowaniach w Strubnicy, które, chociaż w mniejszym formacie, były bardzo miłe i dobrze prowadzone. Urządzane były co parę lat z udziałem zwykle dwunastu myśliwych. Strubnica posiadała dwa kompleksy leśne, z których jeden, terytorialnie stanowiący część Dylewuszczyzny, nazywał się Zabite. Drugi był to Teresiński Gaj, łączący się z lasami majątku Mosiewicze. Był w tym układ korzystny, bo do południa polowano w Dylewuszczyźnie; powrót do domu na obiad i potem w drugą stronę na południe do Teresina. Nagonka w ilości około 40 ludzi zbierała się przy spichrzu w Strubnicy, gdzie rozdawano im kołatki drewniane i puste worki od ziarna. Te ostatnie były użyteczne dla naganaczy; z dwóch dolnych rogów worka jeden wpychało się w drugi, tworząc w ten sposób rodzaj kaptura osłaniającego głowę i szyję przed śniegiem sypiącym się z gałęzi świerków. Nagonka musiała bowiem przedzierać się przez największe gąszcze. Myśliwi z dalszych okolic, jak wuj Przemysław Sieheń z Krasek odległych o 40 kilometrów, jak chłopcy massalańscy, czy wujostwo Józefowie Szczuka z Zalesia⁸⁵, zjeżdżali

⁸⁵ Józef Antoni Szczuka (1880–1958), syn Andrzeja (1852–1935) i Heleny z Wesslów, jego ojciec był przyrodnim bratem Dominika, który był z kolei ojcem wielokrotnie wymienianych w tekście pamiętnika sióstr Szczuka. Ziemianin i właściciel majątku Zalesie w pow. Ostrów Mazowiecka. W listopadzie 1918 był pierwszym polskim starostą w Ostrowi. Jego żoną od 1918 była Maria Magdalena

się poprzedniego dnia i nocowali u nas. Bliżsi sąsiedzi, jak świetny strzelec Oskar Meysztowicz, stawiali się rano. Nieraz zaproszony był ktoś znajomy, nie należący do rodziny ani do bliższego sąsiedztwa, ale sympatyczny i należący do naszego kręgu. Pamiętam panów Świdę⁸⁶ i Sulżyńskiego, ziemian, których majątki pozostały za kordonem granicznym po wojnie, którzy pracowali obecnie na posadach państwowych; byli to prawi myśliwi i mili towarzysze.

Podawano solidne śniadanie, świeży chleb, wędliny, jajka, gorącą pachnącą kawę, ludzie siedzieli w myśliwskich strojach, swetrach, panie zwykle jeszcze były niewidoczne, chyba że brały udział w polowaniu, jak pani Szaszkiewiczowa z Rosi. Nie tracono czasu na długie rozmowy przy stole, każdego paliła gorączka łowiecka. Konie przyjezdnych były umieszczone w stajniach, furmani nakarmieni przy drugim stole mieli przed sobą dzień odpoczynku, nasze konie i sanie fornalskie z wymoszczonymi siedzeniami były wszystkie gotowe, część dla myśliwych, część dla naganki, która wyruszała wcześniej. Przed wyjazdem ciągnięto z kapelusza numery, każdy myśliwy miał swój, na cały dzień. Wyjeżdżamy! Czas ucieka! Myśliwi ładują się do sań, parę kilometrów szybko mija przy rozmowie i oto zajeżdżamy na skraj lasu. W ciągu przedpołudnia brano tam cztery mioty. Wzdłuż linii leśnej ustawione paliki z numerami, rozmowy cichną, myśliwi idą wzdłuż linii, aż natrafią na palik ze swoim numerem.

Teraz trzeba znaleźć sobie dobre miejsce z widocznością do strzelania, będąc samemu osłoniętym. Zamieramy w ciszy. Sikorki kręcą się, przelatując z drzewa na drzewo, przygląda się nam ciekawa wiewiórka. Wreszcie z głębi lasu przed nami odzywa się głos trąbki i zaraz potem rusza nagonka wśród kłopotu „treszczotek” i kołatek.

z Siemiątkowskich. Po wojnie wraz z rodziną mieszkał w Cieplicach. Od 17 VIII 1945 był wicedyrektorem uzdrowiska, działając na rzecz zabezpieczenia majątku a także zbiorów rodziny Schaffgotschów. Zwolniony ze stanowiska w 1949, pracował potem w Muzeum Przyrodniczym w Cieplicach.

⁸⁶ Michał Świda (1885–1944), syn ziemianina i działacza polskiego z Mińszczyzny – Adolfa (1855–1922) i Anieli z Grabowskich (1851–1924). W okresie międzywojennym pracował w urzędzie wojewódzkim w Białymstoku. Zginął podczas powstania warszawskiego.

Teraz uwaga! Wiemy że pierwsze ruszają lisy i wilki. Na lewo ode mnie, wśród ośnieżonych młodych świerczków mignęła ruda sylwetka lisa, idzie na sąsiada. Bach! Pierwszy strzał pada z tej strony, ciekawe czy sąsiad dostał tego lisa? Już zaczynają się pojawiać zające, niektóre zatrzymują się, nad słuchując hałasu za sobą, inne rwą jak szalone prosto na linię myśliwych. Strzały teraz grzmą po całej linii, bliżej, dalej, aż znów ozwie się trąbka – to sygnał że strzał tylko do tyłu, aby nie narażać nagonki. W tym pierwszym miocie – pamiętam je wszystkie jakby to było wczoraj – Papa stał *na klamrze*, tj. na stanowisku narożnym, z obstrzałem przez obie linie. Z daleka dojrzał sylwetkę wilka, przeskakującego w pełnym biegu tę linię boczną. Odruchowy strzał – wilk niknie w gąszczu po drugiej stronie linii. No trudno, gdyby się zawsze trafiało, toby już zwierzyny nie było! Polowanie toczy się dalej, dzień jest jasny, mroźny, oddychamy lekko, cieszy nas hałas nagonki, przytłumiony czasem grzmot dalszego strzału, rzucone niegłośnie do sąsiada – pilnuj!, gdy zwierz kieruje się do niego. Palce zaczynają marznąć na lufach strzelby trzymanej w pogotowiu, jak bliski, swojski jest jej kształt. Koniec miotu! Paru chłopaków idzie wzdłuż linii, zbiera zające, znosi je do specjalnych sań z rusztowaniem, na których wiesza się zwierzynę. Przeważają szaraki, czasem lis się zdarzy. Pan Oskar strzelił dwie kuropatwy, mknące z pełną szybkością nad linią, nad wierzchołkami drzew, to strzały mistrzowskie, to już nie jest zręczność a jakiś odruch automatyczny, szósty zmysł. Kończymy czwarty miot, podjeżdżają sanie, ładujemy się, wracamy do domu na obiad. Naganiacze dostają po dobrej porcji gorącego bigosu, chleba ile wlezie, po kieliszku wódki. My zostawiamy strzelby na ganku, nie trzeba ich wносить do ciepła, bo wilgoć się zbiera na broni, pilnuje ich zaufany człowiek.

Myśliwi wchodzą, zdejmują zwierzchnie ubranie, idą umyć ręce – prosimy do stołu! A więc zakąski, śledzik, kiszzone ogórki, marynowane rydze, no i oczywiście dobrze zamrożona czysta wódka. Tu jednak wkraça autorytet pana domu: po dwa kieliszki na osobę i koniec! Mamy przed sobą dalsze polowanie. Jeszcze wieczór przed nami. Bigos dymi, kartofle parują, sucha wędzona kiełbasa pachnie, komu chrzanu, komu musztardy i gorąca kawa i herbata z ciasteczkami do wyboru. Wre gwar rozmów,



33. Polowanie w Strubnicy Boże Narodzenie 1937 r. Od lewej: 1) N.N., 2) N.N., 3) Adam Bisping (1923–1986), 4) N.N., 5) Teresa Bisping (Gniewosz), 6) Józef Bisping, 7) Anna Bisping (Zabłocka), 8) Jan Bisping (1917–2010), 9) Zofia Bisping (Zabiełło), 10) N.N., 11) Maria Honorata Bisping



34. Polowanie w Strubnicy Boże Narodzenie 1937 r., inne ujęcie. Od lewej: 1) N.N., 2) N.N., 3) N.N., 4) Adam Bisping (1923–1986), 5) Teresa Bisping (Gniewosz), 6) Józef Bisping, 7) Anna Bisping (Zabłocka), 8) Jan Bisping (1917–2010), 9) Zofia Bisping (Zabiełło), 10) N.N.

wieczór, przedyskutowania raz jeszcze polowania. Podawano im dobrą mocną herbatę, słone kruche paluszki, nic więcej. Przebrani, odświeżeni, schodzili się na dole, panie już tam były i dalej trwały rozmowy, aż poproszono całe towarzystwo na kolację. Był to elegancki wieczór, panie w sukniach wieczorowych, wszyscy głodni i chętni do wypitki i do zabawy. Po kolacji jedni grali w brydża, inni gwarzyli przy ogniu trzaskającym na kominku, był to udany, szczęśliwy dzień.

Na jedno z naszych polowań przyjechał Andrzej Czetwertyński⁸⁷, wielki, kwitnący zdrowiem i humorem, będący wówczas gwiazdą socjety poznańskiej, gdzie odbywał studia uniwersyteckie. Polował, popijał, zabawiał panie, wieczór się przeciągnął do późna. Nazajutrz musiał wstać bardzo wcześnie, żeby zdążyć na pociąg powrotny do Żołudka. Jan służący i Jasiek furman dostali dyspozycję, aby go obudzić, podać mu śniadanie i odwieźć go na stację do Rosi. Jan stanął przed trudnym problemem, bo delikatne najpierw a później energiczniejsze próby obudzenia chrapiącego zdrowo Andrzeja nie dawały żadnego rezultatu. Jakże to? Szarpać i szturchać książęce ciało? W końcu jednak Jan zadanie wykonał i Andrzej wyruszył w drogę powrotną.

⁸⁷ Andrzej Maria Czetwertyński (1911–1939), syn Ludwika Rudolfa i Róży z Radziwiłłów. Urodzony 16 IX 1911 w Żołudku. Ukończył gimnazjum im. Bolesława Chrobrego w Pszczynie i studia prawnicze na uniwersytecie w Poznaniu. Następnie zarządzał folwarkiem w Skidlu. Zginął podczas agresji sowieckiej na Polskę we wrześniu 1939 zastrzelony przez żołnierzy Armii Czerwonej 25 IX 1939 w Skidlu. Pochowany na Powązkach w Warszawie.